ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Listopada. **№ 45.** **Roku 1856.**

DROGA DO BOGACTW.

(Dokończenie.)

II.

W R Ó Ż B A.

Po obiedzie udali się obadwaj przyjaciele na przechadzkę do *Jardin de Plantes.*

Dzień był prześliczny, a ogród cały przepełniony przechodniami. Pomiędzy nimi uwijała się żywo jakaś młoda dziewczyna z błękitnemi oczyma i jasnym włosem, w krótkiej jupce z czarnego aksamitu i krótkiej spodnicy takiegożsamego koloru. W ręku trzymała zgrabny koszyczek z mnóstwem pozłacanych orzechów. Byłato wróżka, przepowiadająca w dziwny sposób przyszłe losy ciekawym.

„Kupujcie, moje państwo!“ — wołała nadstawiając swój koszyczek — „jeden orzech kosztuje tylko pięć groszy! Za tę cenę można poznać swoją przyszłość.“

Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy orzech zamiast ziarnka zamykał w sobie małą karteczkę z jakimś przypowiadającym dwuwierszykiem takiejsamej dwuznacznej i zagadkowej treści, jakiej były niegdyś słowa kapłanki delfickiej.

„Ożenisz się pozno. Będziesz miał miłostek bez liku“ — opiewał jeden.

„Wdasz się w interesa, które ci znaczną przyniosą szkodę“ — wróżył drugi.

„Życzenie twoje ziści się, lubo aż po długiej walce“ — zapowiadał trzeci.

Dzięki dziecinnej ciekawości, wrodzonej każdemu człowiekowi, znajdują pokup i takie nawet niedorzeczności. Młoda wróżka miała wcale niezły odbyt na swój towar dziecinny.

Każden z przechodniów pragnął dowiedzieć się nieco o swoim przyszłym losie. Mały koszyczek wypróżniał się coraz więcej.

„Doprawdy!“ — zawołał Gustaw wesoło — „ta dziewczyna przybywa jak na zawołanie z swoim koszykiem!“

„Jakto? Miałżebyś ochotę zasięgnąć rady jej orzechów“ — zapytał fabrykant z nietajonem zadziwieniem.

„Dlaczegoż nie?

I mówiąc to, wyciągnął młody malarz rękę ku wróżce, i zawołał głośno:

„Pojdź tu moja kochana z twoim koszykiem!“

Potem przychylając się ku swemu przyjacielowi, szepnął mu spiesznie:

„Niech cię nie zadziwia moje postępowanie. Jestem zabobonny jak Juliusz Cezar, Ribeira i Napoleon.“

„Przywara wielkich ludzi!“ — odpowiedział fabrykant z nieco szyderczym uśmiechem.

W ciągu tego czasu przybliżyła się wróżka. Gustaw wetknął jej w rękę małą monetę srebrną, i sięgnął do koszyka.

„Wybieraj dobrze, mój ładny panie!“ — zachęcała młoda dziewczyna z filuternym uśmiechem.

Gustaw wyciągnął pierwszy lepszy orzech, i podał go przyjacielowi.

„Zechciej sam obaczyć, co mi przynosi“ — rzekł z uśmiechem.

Były kompozytor rozdusił orzech za jednym pociskiem swoich żylastych palców, rzuciwszy potem łupy na ziemię, rozwinął zwolna mały, wąziutki zwitek papieru.

„Czytajże, czytaj cożywo!“ — rzekł niecierpliwy towarzysz.

Julian wygłosił uroczyście wieszczbę następującej treści:

„Ujrzysz wielkie rzeczy — Milion przejdzie ci przez ręce!“

W pierwszej chwili parsknęli obadwaj przyjaciele głośnym śmiechem.

„Marzyłem zawsze, iż z czasem dorobię się milionowej fortuny“ — rzekł wreście Gustaw.

Po tych słowach puścili się obadwaj w głąb ogrodu.

„I jakże Gustawie?“ — rzekł nakoniec Julian — „uwierzyłeś na prawdę w tę wieszczbę niedorzeczną?“

„Uwierzyłem.“

„Oho!“ — pomyślał fabrykant, uderzony tak krótką i dobitną odpowiedzią. — „Memu przyjacielowi zaczyna się mroczyć już w głowie. Wiara w jakąś urojoną świetność przeznaczenia zaślepia go; tem trudniej będzie biedakowi rozczarować się potem. Lecz nie psujmy mu uroku, czas doświadczenia aż nazbyt bliski.“

Były kompozytor nie mylił się w samej rzeczy co do usposobienia Gustawa. Jeszcze tegosamego wieczora prowadził on, kładąc się do łóżka, następujący monolog:

„Jeśli wierzę w świetną i szczytną przyszłość moją, tedy pewnie nie dla tej śmiesznej wieszczby w orzechu pozłacanym, lecz dlatego że ją przeczuwam od pierwszych lat dziecięcych. I czemuż zresztą nie miałbym dopiąć mojego przeznaczenia. Jestem młody, przyznają mi talent, mam dobre chęci i wolę niezłomną. A przy tem wszystkiem czyż może ujść mi zwycięztwo? Mam zwątpić dlatego jedynie, że jacyś tam ludzie bez talentu i poświęcenia utknęli w drodze? Alboż nie wiedziałem, że nic łatwiejszego jak spotkać człowieka, który przed pierwszym lepszym nieznajomym ozwie się z skargą: „Jestem zapoznany; nie mam sposobności objawić mego talentu; okoliczności nie dozwalają mi wznieść się nad poziom, dorobić się imienia, zwalczyć nędze i zawiść losu.“ I toż ma zrażać mię, ma ostudzać mój zapał? Przenigdy! Wiem że będę musiał walczyć, lecz gdzież zwycięstwo bez walki? Jakiż urok miałaby późniejsza sława i świetność, nabyta bez pracy i mozołów? Jestem młody, a walka to żywioł młodości. Stoczę ją chętnie z ubóstwem, z niewiadomością i wszelkiemi innemi zawadami, i dobiję się zwycięstwa mimo wszelkie trudności. Wymaluję najsamprzód „śmierć Kleopatry“. Co za wspaniały przedmiot! Dawna kochanka Cezara w całym blasku piękności i powabów przykłada do obnażonych piersi koszyk napełniony owocami; zpomiędzy najpiękniejszych jabłek granatowych wychylają się głowy dwóch gadzin jadowitych, ich żądła dotykają już ciała Kleopatry, na której twarzy malują się tysiące sprzecznych uczuć, w której łonie wre walka najgwałtowniejsza! O, na pierwszej zaraz wystawie przyniesie mi ten obraz 25 tysięcy franków nagrody i złoty medal zasługi. A potem królowie będą wysyłali do mnie swoich posłów; arystokratyczna Anglia będzie ubijała się o lada pociąg mojego pędzla; bankierowie będą błagali mię na klęczkach, abym malował ich żony lub córki. Wtedy dopiero rozpocznę nowe życie!“

Biedny Gustaw!

Te marzenia bez związku i porządku byłyto pierwsze symptomata szaleństwa.

III.

PRÓBY.

Powróciwszy właśnie z przechadzki po mieście do ubogiego mieszkania na poddaszu przy jednej z najciemniejszych ulic Paryża, zastał Gustaw u odźwiernego list następującej treści:

„Upłynęło już trzy miesiące, drogi Gustawie, jak opuściłeś dóm mój, aby uzyskać niepodległość i gonić za urzeczywistnieniem marzeń swoich. Takie były przynajmniej twoje słowa — słowa dość szumne. Pozostawiwszy ci wolność zupełną, nie chciałem ci przeszkadzać w zamierzonej wędrówce do ziemi obiecanej, lecz nigdy nie spuściłem cię z oka. A dziś śmiem zapytać się: Jestżeś teraz mniej zawisłym? Myśliszże ciągle jeszcze o urzeczywistnieniu marzeń swoich; czyż dążysz jeszcze do tej ziemi obiecanej, płynącej chwałą i dostatkami, jak sobie uroiłeś?“

„Przed kilką dniami odwiedziłem cię w twojem nowem mieszkaniu. Od tego czasu nie otrząsłem się jeszcze z żalu i smutku, jakiemi przejął mię widok twojego teraźniejszego życia. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, iż początkowy zawód artysty jest zawsze najtrudniejszy i najzmudniejszy. Wszakże ja sam mieszkałem niegdyś w ciemnej jaskini, żywiłem się jadłem, któremby nieraz zwierzę wzgardziło, a piłem chyba łzy własne. Ztądteż najlepiej mogę pojąć i uczuć stan twój dzisiejszy, mogę zrozumieć z łatwością zmartwienia i cierpienia, którychbyś sam nie wyjawił bratu rodzonemu. I z tejże właśnie przyczyny nie chcę, nie mogę znieść, abyś prowadził dalej tak nędzne życie.“

„Gustawie! mówmy otwarcie. Nie myślę bynajmniej obrażać w czemkolwiek twoją miłość własną, gdyż wiem iż najmniejsze draśnięcie w tym względzie przemienia najlepszych przyjaciół w najzawziętszych wrogów, a ja chciałbym do śmierci pozostać twoim przyjacielem. Owoż nie uwłaczając bynajmniej twojej miłości własnej, twojemu talentowi, który sam najlepiej znam i cenię, wątpię przecież, abyś kiedykolwiek dopiął celu, jaki sobie wytknąłeś. Nie zastanowiłeś się biedny szaleńcze, iż z tysiąca młodzieńców, wstępujących w zawód artystyczny z najgo-

rętszym zapałem, z najszczerszą chęcią i najsilniejszą wolą, zaledwie pięciu doprowadza zwyczajnie do kresu pożądanego. A coż się dzieje z resztą, z 995 współzawodnikami w tym hazardownym biegu. Pozostają daleko w tyle, wloką do poźna żywot zmudny i nędzny, giną wśród walki, albo co jeszcze gorsza — wstępują na ścieżkę zepsucia i hańby."

„I pocoż masz próbować tak zdradnych losów? Posłuchaj, co przez usta moje mówi ci przyjaźń najserdeczniejsza. Oto bez wszelkich długich ustępów, bez wszelkich przedmów, zapytuję cię Gustawie: Chcesz być członkiem mojej rodziny? Siostra żony mojej jest na wydaniu. Panna to młoda, ładna, wykształcona i bogata. Jej posag jest ulokowany w mojej fabryce. Czyż chcesz się z nią ożenić? Namyśl się, a w jednej chwili porzucisz zawód, na którym najszlachetniejsze umysły mają tak wątłą nadzieję zwycięztwa. Jedyny warunek, jakiemubyś się poddać musiał, byłby porzucić pedzel, jak ja niegdyś porzuciłem muzykę."

„Oczekuje twojej odpowiedzi, Gustawie. Zważ że szczęście samo nachyla się ku tobie, nie odpychajże go od siebie, bo ktoż wie czy w życiu uśmiechnie ci się kiedy po raz drugi. Odpowiedz mi tedy jaknajspieszniej, odpowiedz bodajby tylko jednem przyjaznem słówkiem.

Julian Dupré."

„Poczciwy Julian!" — rzekł do siebie Gustaw, rzucając list z niechęcią. — „Wyświstany za jakąś lichą sztukę, wyleczył się z urojenia posażnem ożenieniem, i pocieszył się po wstydzie trzosem talarów. Chciałby tedy na wszelki sposób, aby i ja coprędzej wstąpił w jego ślady, i stał się jak on kramarzem!"

Poczem usiadłszy, odpisał życzliwemu przyjacielowi w słowach następujących:

„Żądałeś, kochany Gustawie, tylko jednego słówka odpowiedzi, oto masz ich przynajmniej dziesięć. Więc:

„Żaden wzgląd, żadna rada, żadne przedstawienie nie zniewoli mnie do porzucenia zawodu artysty."

„Przysiągłem malować zgon Kleopatry, i dotrzymam słowa."

„Postanowiłem, dorobić się pędzlem miliona, i nie zaniecham proby."

„Przestańmy tedy mówić o wszystkiem, coby się sprzeciwiało moim postanowieniom niniejszym."

Gustaw.

Korrespondencya ta zerwała na dłuższy czas wszelkie stosunki między obudwoma przyjaciołmi.

Dopiero po całym roku zeszli się niespodziewanie w ogrodzie tuileryjskim.

„Jak się masz Gustawie?" — zawołał pierwszy Julian, podając rękę przyjacielowi. — „Lecz coż ci to? wyglądasz jak człowiek zmartwiony" — dorzucił po chwili, przypatrzywszy się lepiej jego twarzy.

„O nie, mój Julianie, nie wyglądam jak zmartwiony, lecz jak człowiek upadający pod ciężarem pracy i nauk."

„A prawda, pracujesz nad zgonem Kleopatry. Jakże daleko postąpiłeś w obrazie?"

„Już w większej połowie ukończony. Za sześć miesięcy będzie mój obraz na wystawie."

„Cieszę się niewymownie."

I uścisnąwszy się serdecznie po tych słowach, rozeszli się obadwaj.

Rzecz dziwna, żaden z nich nie był szczery w swojej rozmowie.

„Pytał się jak daleko postąpiłem w pracy!" — pomyślał sobie Gustaw po odejściu Juliana. — „Przebiegły! zaledwie mię obaczywszy, odgadł zapewne, żem jeszcze ani umaczał pędzla."

„Oho," — mówił do siebie ekskompozytor, odchodząc w stronę przeciwną — „powiąda iż za sześć miesięcy będzie cały obraz skończony. Założyłbym się że kłamie, jak przekupnik jarmarczny. Przekonamy się po owych sześciu miesiącach."

IV.

PIERWSZY CIOS.

Gustaw rzeczywiście nie rozpoczął jeszcze obrazu. Stało się to z wielu przyczyn.

Pierwszą z nich był brak funduszów. Młody artysta przybył do Paryża z bardzo skromnym zasobem pieniężnym, a ten rozszedł się zaraz w pierwszych miesiącach. Wkrótce więc ujrzał się ogołoconym z wszelkich środków do życia.

W takim razie nie można było przystępować do dzieła, wymagającego przynajmniej całorocznej swobody. Potrzeba było pomyśleć o zarobku powszednim, aby jak mówił Julian „mieć codziennie kawałek suchego chleba i białą koszulę na ciele"

Musiał się tedy biedny Gustaw chcąc nie chcąc poświęcić owym podrzędniejszym zatrudnieniom malarskim, które żadnej nie

przynoszą chwały, a zabierają zbyt wiele czasu.

Kopiował celniejsze obrazy.

Odnawiał portrety familijne.

Kolorował obrazki, sprzedawane po groszu na jarmarkach.

Rysował wzorki i ryciny mód dla kupców.

Malował godła dla rzeźników, akuszerek i kupców korzennych.

A przy tem wszystkiem błogosławił jeszcze dniowi każdemu, w którym miał zatrudnienie. Dotąd żadna przeciwność nie złomała jeszcze jego woli, nie zachwiała jego zamiaru. Kładąc się spać, pocieszał się co wieczora:

„Mimo te wszystkie trudności dobiję się kiedyś sławy, i dorobię się miliona, jak mi to przepowiedział orzech złocisty.“

Pewnego razu, bawiąc się w gronie artystów i amatorów sztuki, mówił dość głośno o swoim *Zgonie Kleopatry*.

Chudopachołkom nikt nie ukradnie pieniędzy, bo ich nie mają; tem łatwiej jednak ukraść im myśl jenialną zprzed nosa.

Tak też stało się z Zgonem Kleopatry Gustawa. Zanim jeszcze naciągnął płótno na ramy, oglądano już pomysł jego na publicznej wystawie, jako obraz przez kogo innego wykończony.

Biedny Gustaw stanął jak piorunem rażony.

W pierwszej chwili zawrzała w nim żądza zemsty nad nikczemnikiem, który tak bezczelnie go okradł. Wnet jednakże namyślił się inaczej.

„Nie, nie ucieknę się do tych zwyczajnych środków zemsty. Tych używają tylko ludzie poziomi i złośliwi“ — rzekł sobie malarz. — „Ja pomszczę się w inny sposób!“

I zamyśliwszy się na chwilę, podniosł głowę z tryumfem w górę, i rzekł:

„Od dziś za rok musi być spełniona wieszczba złocistego orzecha. Potrzeba tylko zmienić plan strategiczny. Pierwej postaram się o milion, a sława przyjdzie w tropy za złotem.“

Aby zrozumieć ten nagły zwrot w postanowieniu Gustawa, potrzeba sobie przypomnieć, że czas działania naszej powieści był właśnie kulminacyjnym punktem owego szału gorączkowego, który na wieść o bajecznych pokładach złota w Kalifornii wrzał na całym zachodzie.

Po wszystkich dziennikach, pismach, broszurach, we wszystkich kółkach i warstwach społeczeństwa, na balach, wieczorach i operach, w zgromadzeniu narodowem i na posiedzeniu akademii, nie mówiono podówczas w Paryżu o niczem innem, jak tylko o Kalifornii, o jej kopalniach nieprzebranych, o łatwym sposobie dorobienia się w krótkim czasie fortuny Krezusowej.

Gwiazda Kalifornii olśniła swoim blaskiem całą zachodnią Europę. Osobliwie w oczach próżniaków paryskich była Kalifornia jakąś krainą czarodziejską, jakimś uosobionym rozdziałem z Tysiąc i jednej nocy, zakładem promowującym chudopachołków na panów milionowych.

Owoż o niejto myślał biedny okradziony Gustaw, postanawiając zmienić plan strategiczny, aby tem prędzej dorobić się wywróżonego sobie miliona. Co tem pewniejszą zdało się rzeczą, ile że świeżo jeden z towarzyszów niedoli życia artystycznego, doprowadziwszy do zupełnego zwątpienia i rozpaczy w Paryżu, i udawszy się następnie do Kalifornii, napisał ztamtąd po kilku miesiącach do Gustawa:

„Na miłość boską Gustawie, przybywaj tu jaknajrychlej, przybywaj na skrzydłach ptaka, wichru, piorunu, jeśli chcesz zostać w mgnieniu oka panem milionowym, opływać w szczęście i rozkosz. Kalifornia to druga poprawna edycya raju ziemskiego. Każdy z naszych żebraków chciałby być portretowanym; każdy gotów jest z swojego wyżebranego grosza płacić po gwinei za lada pociąg pędzla. Przybywaj tedy jaknajspieszniej. A jeśliby, co niepodobna, miało ci się nie wieść na polu sztuki, tedy masz tu tysiąc innych ścieżek do zdobycia bogactw milionowych.....“

Po przeczytaniu tego listu nie namyślał się dłużej nasz pokrzywdzony artysta.

„I dlaczegoż nie miałbym jechać do Australii?“ — rzekł sam do siebie, zacierając ręce. — „Wszakże to najdogodniejsza sposobność dorobienia się w krótkim czasie majątku, aby potem całe życie poświęcić wyłącznie sztuce. Tylko przy zupełnej niezawisłości, w niczem nieprzerywanym wczasie, tworzą się arcydzieła. Wtedy także podarzy się najwalniejsza sposobność zemsty na nikczemniku, który mię okradł. Powrócę dojrzalszy wolą i rozumem, i zaraz wymaluję zgon Kleopatry, aby postawiwszy mój obraz obok obrazu plagiatora, dowieść światu najoczywiściej, kto jest prawdziwym twórcą pomysłu.

Po tym przekonywającym monologu zaczął się Gustaw sposobić do podróży.

Potrzeba było niejedną jeszcze noc prześlęczyć nad kopiowaniem, na niejednej drabinie prezentować się gawiedzi ulicznej, ma-

lując godła wędliniarzy i szynkarzy, zanim uzbierał się potrzebny grosz do podróży. Lecz już w Londynie wyczerpały się wszelkie zasoby. Biedny artysta musiał uciekać się znowu do najpodrzędniejszych robot swojego zawodu. Dopiero po niejakim czasie udało mu się pracą bez wypoczynku zebrać sumkę do opędzenia kosztów przewozu, i wsiąść w imię boże na okręt.

V.

JAK ZYSKUJE SIĘ MILION?

Przewóz do Kalifornii trwał sześć miesięcy. Po tym czasie stanął nasz artysta szczęśliwie u kresu swojej podróży, na ziemi krainy czarodziejskiej, gdzie potrzeba było tylko rękę wyciągnąć, aby stać się właścicielem miliona w najczystszem złocie.

W chwili wylądowania był nasz biedny artysta jakby oczarowany. Najświetniejsze nadzieje kołysały imaginacyę, uśmiech szczęścia igrał na ustach, radość i upojenie malowały się w twarzy. Nie zważając bynajmniej na swoich towarzyszów podróży, nucił jakąś wesołą piosnkę, której każda zwrotka kończyła się jednostajnym rymem:

„Orzech złocisty! Orzech złocisty!“

Lecz już na drugi dzień przeszła mu jakoś wszelka chętka do spiewu, a tuż zaraz zniknął i uśmiech radosny z twarzy, i zgasł promień zapału w oczach.

W ośm dni po wylądowaniu na ziemi obiecanej zalewał się Gustaw gorzkiemi łzami żalu, targał włosy z rozpaczy.

Biedny Gustaw w Paryżu był ubogim, w Londynie prawie żebrakiem, w Melbourne zagrażała mu śmierć głodowa.

Ogołocony z wszelkich środków do życia, chwytał się najdziwaczniejszych sposobów zarobkowania, rzucał się do prac i rzemiosł, zaledwie ze słuchu mu znanych. W krótkim bardzo przeciągu czasu był nieborak kolejno listonoszem, kuchcikiem, posługaczem po domach publicznych, pisarzem pokątnym i wszystkiem czem kto chciał, i za co kto zapłacił.

Ale wszystko napróżno; szczęście odwróciło się od niego. Nawet mularstwo, któremu potem oddawał się przez czas niejakiś, nie przynosiło mu potrzebnych środków do życia, tem mniej zaś rokowało mu nabycie owego nieszczęsnego miliona, za którym tak uporczywie gonił.

Biedny artysta upadał już zupełnie na duchu i na siłach, gdy wtem przyświeciła mu jakaś myśl szczęśliwa:

„Pójdę na polowanie!“ — zawołał.

I tak też uczynił rzeczywiście. Wybrał się na polowanie bez psa, bez fuzyi, bez prochu, bez śrutu, bez kłaków, bez kapslów i torby na plecach.

Na pustkowiach Kalifornii przebywało w pierwszych latach gospodarstwa Europejczyków mnóstwo kuropatw i przepiórek. Na tęż zwierzynę wybrał się nasz myśliwiec z prostym kijem w ręku.

Bądźto, iż ostateczną przynaglony potrzebą okazał w tym dziwnym rodzaju polowania jakąś niesłychaną dotychczas zręczność, bądźto iż jakiegoś nieznanego użył fortelu, bądź nareście iż tylko z jakiegoś szczęśliwego skorzystał wypadku, dość iż po kilkogodzinnym trudzie, po zupełnem sił wyczerpaniu, upolował trzy kuropatwy i to z gatunku kuropatw najprzedniejszych, czerwonych.

„Nie lękam się już śmierci głodowej“ — powiedział sobie artysta, powracając z zwierzyną swoją do miasta. — „Jestem już na ścieżce do miliona.“

Potrzeba wiedzieć że w Australii wszystko co służy do pożywienia, płaci się po cenach bajecznych. Kuropatwa czerwona kosztuje dwieście franków bez targu. Jakoż tegosamego jeszcze wieczora otrzymał nasz szczęśliwy myśliwiec sześćset franków za kuropatwy.

Lecz jakże z tak małą w stosunku sumką dorobić się miliona i to w nader krótkim czasie?

Nasz artysta nie frasował się o to. Uderzył się ręką po czole, i zawołał: „Mam myśl szczęśliwą!“ — a ileżto treści zamyka się w tych trzech wyrazach!

„Mam myśl szczęśliwą!“ — zawołał Hanibal, przekraczając Alpy. — „Mam myśl szczęśliwą!“ — zawołał Archimedes, i powtórzyli poźniej Kolumb i Kopernik. A oprócz nich ilużto ludzi sławnych i niesławnych, jenialnych i niejenialnych, powiedziało sobie tesame słowa czarodziejskie, iluż jeszcze powie je sobie w przyszłości!

Nasz artysta miał w istocie myśl wcale niepospolitą. Postanowił rozpocząć handel piórkami od zębów. Europejczycy przynieśli z sobą do złotonośnej Australii wszystko czem tylko prąd cywilizacyi zaopatrzył ich w domu. W Melbourne były już i sklepy wystawne, i hotele paryskie, i magazyny krawieckie, i więzienia za długi, i teatr opery, i szpi-

tal dla ubogich, i domy zabawy i domy poprawy i dzienniki filozoficzne! Brakowało tylko piórek do zębów!

Gustaw tedy narobił piórek za wszystkie sześćset franków, a na drugi dzień sprzedał je za dwadzieścia tysięcy.

Cała kolonia przechadzała się po południu po miejscach publicznych z piórkami w zębach, na znak że dobrze jadła przy obiedzie.

Przedsiebiorstwo Gustawa rosło z dniem każdym. W przeciągu jednego roku miał już sto tysięcy franków w gotówce. We dwa lata poźniej posiadał kamienicę w Melbourne, sklep z wystawą, fabrykę z maszynami. Byłto już hurtownik całą gębą.

* * *

W sierpniu 1855 otrzymał nasz dawny znajomy, fabrykant jedwabiu Julian Dupré, list treści następującej:

„Melbourne 15 kwietnia 1855.

„Kochany przyjacielu!

„Zapomnijmy zupełnie o przeszłości. W tej chwili nie masz dla mnie nad teraźniejszość — teraźniejszość opływającą w dostatki i rozkosze. Dorabiam się fortuny. Lecz to dopiero połowa wymarzonego szczęścia; drugą połowę urzeczywistnię za powrotem do Paryża.

„Tymczasem liczę na twoją przyjaźń, i proszę cię usilnie o kupienie mi na polach elizejskich za 300.000 franków pałacu dwupiątrowego z dziedzińcem, ogrodem, stajnią, wozownią i piwnicą. Jużto piwnicę miej głównie na uwadze.

Gustaw.“

P. S. W załączeniu posyłam ci weksel na dom Hottinguer.

Poczciwy fabrykant spełnił natychmiast otrzymane zlecenie. Nie upłynął jeszcze miesiąc, a nadeszło nowe zlecenie. Zawierało się ono w liście następującym:

„Kochany przyjacielu!

„Proszę cię tym razem o pomieszkanie letnie nad brzegami Sekwany, z parkiem, stawem, bażantarnią, kurami, gęśmi, końmi, krowami, psiarnią i wszystką resztą wiejskich zwierząt i przyjemności. Cena 300.000 franków.

Gustaw.“

„P. S. Załączam weksel na dom Malleta i braci.“

Julian Dupré kupił z równą gotowością żądane mieszkanie letnie.

W miesiąc odebrał list nowy:

„Kochany przyjacielu!

„Jeśliś łaskaw, kup mi za 300.000 franków papierów trzyprocentowych.

„Gustaw.

„P. S. Załączam weksel na dom Rotszylda.“

Julian Dupré wypełnił i trzecie polecenie.

„Chciałbym przecie wiedzieć, jakim sposobem ten zapaleniec dorobił się tak ogromnej fortuny“ — myślał sobie zdziwiony niepomału ekskompozytor.

Ciekawość jego zaspokoiła się niebawem.

Pewnego dnia wszedł nagle do jego pomieszkania człowiek pochylony, wybladły, z siwym włosem, zmarszczoną twarzą.

„To ja Gustaw, twój przyjaciel, drogi Julianie“ — zawołał przybysz na wstępie. — „Czyż nie poznajesz mnie? Spełniła się przypowiednia złocistego orzecha. Widziałem wielkie rzeczy, przywożę z sobą milion. Lecz przywożę także pewien mniej pożądany naddatek. Mam lat trzydzieści trzy, a Australia przyczyniła mi drugich trzydzieści trzy. Jestem tedy starcem młodzieńczym, i nie mam ochoty ani do malowania zgonu Kleopatry, ani ożenienia się. Umrę samotnie na krześle wyzłoconem.“

* * *

Oto cena miliona. Wartoż było gonić za nim tak uporczywie?

GRZECZNOŚĆ.

Grzeczność nie jest bynajmniej obłudą przez zwyczaj upoważnioną. Jestto raczej rozsądna względność, na której zasadza się cały urok towarzystwa. Gdyby mogło być zgromadzenie, w któremby każdy mocą nadprzyrodzoną zmuszonym był stosować swoje postępowanie i rozmowy do tego, co w głębi serca i głowy czuje i myśli, znikłaby grzeczność wzajemna, znikłyby słowa obowiązujące, a natomiast objawiłyby się otwarcie zazdrość, niesłuszne uprzedzenia i podejrzliwości krzywdzące, następowałyby co chwila urazy po urazach, a każdy salon stałby się otwartem polem walki i kłótni.

Przypatrzmy się zaś towarzystwu, w którem grzeczność panuje. Każdy w niem pragnie podobać się drugiemu; nikt tam nie jest bez wzajemnego uszanowania, każdy wychodzi zadowolniony z tych których widział i słyszał, a wszyscy nawzajem są znowuż zadowolnieni z niego.

Tak też sądzili o grzeczności prawie wszyscy znakomitsi ludzie z dawnych i nowszych czasów. Oto niektóre z ciekawszych zdań w tej mierze.

Juliusz Cezar mawiał: „Wielką część wojennych powodzeń moich zawdzięczam pewnym przymiotom osobistym, nie mającym zresztą wielkiej wagi, mianowicie grzeczności, jakoteż usiłowaniu stać się każdemu przyjemnym.“

Diderot: „Znałem męża, który wszystko wiedział, wszystko rozumiał, lecz nie mógł nigdy wymówić z uprzejmością „dzień dobry!“ Przez całe też życie swoje był nieborak biednym i pogardzonym!“

Buckingham: „Stanąłem na szczycie potęgi i szczęścia nie tak przez zasługi, jako raczej przez grzeczność i ujmujące postępowanie. Jakoż dopiero wtedy uznał mię król Jakób I. wielkim ministrem, gdym się na jednym z listów moich do niego podpisał: twój niewolnik duszą i ciałem.“

Pascal: „Wrodzona jest każdemu człowiekowi pewna nienawiść ku drugiemu. Aby więc uczynić społeczność rzeczą możebną, musiano wynaleźć jakiś pozór miłości, a tym jest grzeczność.“

Valvenargues: „Jeśliby ludzie wzajemnie nie pochlebiali sobie, nie mogliby też żyć z sobą.“

Voltaire: „Grzeczność jest tem dla ducha, czem piękność dla oblicza.“

Genlis: „Grzeczność przyczyniała się zawsze do sławy narodów, które ją zachowywały. Grzeczność Ateńczyków wydaje się dziś jeszcze zaletą godną uznania.

Montaigne: „Grzeczność jest najpożyteczniejszą umiejętnością, ujmującą równie jak piękność i powaby.“

Lambert: „Grzeczność utrzymuje społeczność i pokój, jest sztuką kojarzenia z sobą ujmującym sposobem tego, cośmy sobie i drugim winni.“

Joubert: „Grzeczność ogładza szorstkość charakteru.“

La Bruyére: „Grzeczność usiłuje doprowadzić mową i zachowaniem do tego, aby drudzy byli z nas i z siebie zadowolnieni.“

Lord Chesterfield: „Wszelkie cnoty i zdolności niczem są bez grzeczności. Będąc owocem wykształconego rozumu, jest ona zarazem jakimś wdziękiem wrodzonym, jakiemś zrzeczeniem się siebie samego dla drugich, aby... czegoś podobnego doznać i od nich.“

La Rochefoucauld: „Grzeczność jest tylko żądaniem, aby z nami grzecznie się obchodzono, i za grzecznych nas miano.“

Chamfort: „Nawet w najgorszem towarzystwie za czasów Ludwika XIV napotykamy coś, na czem nieraz naszemu dobremu zbywa.“

Washington mawiał: „Z kapeluszem na głowie nie ujdziesz daleko, z kapeluszem w ręku przejdziesz świat cały wszerz i wzdłuż.“

Czapką — papką — i solą
Ludzie ludzi niewolą.

W s p o m n i e n i e i n a d z i e j a. Wspomnienie jest ozdobą przeszłości, nadzieja ozdobą przyszłości. Pierwsze jest zmierzchem życia, drugie jego zorzą. Z wspomnieniem żyjemy j e s z c z e, przeszłość nie zupełnie jeszcze znikła przed nami; nadzieją j u ż żyjemy, a przyszłość w obecność się zamienia. Wspomnienie jest obrazem, naszą i czasu ręką w mniej więcej trwałych rysach nakreślonym, lecz nie każdy może ujrzyć go i poradzić się go w każdej chwili życia swojego. Nadzieja jest obrazem zawsze przed nami, co chwila zmienia go wyobraźnia nasza, i tworzy to mniej, to więcej zajmujące widoki, lecz tylko ręka czasu te rysy ustalić może. Te obrazy czas zaciera, a często i niszczy zupełnie. Miłe wspomnienia są braćmi nadziei, ich los jest ustalony, można cieszyć się niemi bez obawy. Przykre wspomnienia trwogę w nas rodzą; szczęśliwy kto je oddalić może. Lecz ktoż będzie tak silnym i zręcznym, aby przykrą przeszłość zupełnie w pamięci zatarł, a zajmował sie tylko miłemi wspomnieniami i uśmiechajacą się zdala przyszłościa. Wyobrażenia i uczucia teraźniejsze chociaż rzeczywiste, są tylko przemijającemi połyskami. Natomiast zaś wyobrażenia przeszłości lub przyszłości rodzą w nas zawsze wspomnienie lub nadzieję, i jak pochodnie zawsze palące się, rozświetlają nasz umysł.

P r z y c z y n y d ł u g o w i e c z n o ś c i. Kiedy ludzie prości i pracowici, pasterze, strzelcy lub wieśniacy, żyli na wolnem powietrzu podług praw przyrodzenia, dochodzili częstokroć lat 150; kiedy jednak przeszedłszy granice cywilizacyi, zamieszkali miasta, i zaczęli używać gorących napojów, zbytków i miękkości, skróciło sie ich życie, i zaledwie 80 lub 90 dostępowali lat. Dwie główne przyczyny wpływają na długość życia: klimat i pożywienie. Ludzie żyją dłużej w krajach zimnych dlatego, że trawienie życia jest mniejsze niż w krajach gorących. Lecz jak zimno umiarkowane przedłuża życie, tak znowu skraca je zimno zbyteczne. W Szwecyi, w Norwegii, w Danii i Anglii żyją ludzie najdłużej. Bardzo mało starców znajduje się za to w Syberyi, Laponii i Nowej Zemli. Często stoletnich ludzi można znaleźć w Norwegii, Irlandyi a nawet we Francyi, w Niemczech i Polsce. Bardzo rzadko trafia się to we Włoszech, a nigdy w Indyach. Oprócz pokarmu wiele jest innych przyczyn długiego życia, jako to: sen, ćwiczenia ciała, umiarkowanie w żądzach, ochędostwo, otwartość charakteru i spokojność duszy. Szczegółowy ich wywód wymagałby obszerniejszego miejsca, przytaczamy dlatego same tylko ciekawsze. W naszych czasach zdarzają się najczęstsze i najciekawsze przykłady długiego życia pomiędzy wieśniakami, żołnierzami i uczonymi.

Wróżby z pisma. Kiedy niegdyś banda cyganów pojawiła się za wsią, spieszył kto żył do starej wróżki cygańskiej, aby z linij i zarysów lewej ręki dowiedzieć się czegoś o przyszłych losach swoich. Niedawno temu zaspakajano takąż samą ciekawość wcale odmiennym sposobem. Oto zapisywano własnoręcznie kawałek papieru kilka lub kilkunastą słowami, i wraz z talarem w srebrze albo w banknotach, odsyłano pismo do Lipska, do znanej powszechnie *Gazety illustrowanej* Tam jakiś pan Hentze, nieznany bliżej z imienia, bo podobnoś nawet pseudonym, umieszczał na siódmej kolumnie dziennika zdanie swoje o każdym w podobny sposób nadesłanym mu dokumencie. Jak niegdyś Ławater z portretu, jak dziś jeszcze frenologowie z czaszki, tak pan Hentze wywnioskowywał z pisma nieznanych sobie ludzi cały ich charakter, ich usposobienie, temperament, skłonności, wszystkie szczególne zdolności, sympatye i odrazy. Natłok ciekawych tego nowoczesnego wróżbiarstwa przewyższał własne oczekiwania wróżbity. *Gazeta illustrowana* zamieszczała tylko jedną cząstkę odpowiedzi na tysiące różnych zapytań. Wielu bowiem ciekawych udawało się do pana Hentzego w listach prywatnych, tajonych przed publicznością, nie pytając już o zagadkę charakteru swojego, lecz zasięgając zdania i rady w najrozmaitszych przedmiotach i okolicznościach. I tak np. jedni pytali czy mogą żenić się z osobą, która takie a takie posiada pismo; drudzy radzili się czy mają w tej lub owej ważnej sprawie zaufać człowiekowi, którego próbkę pisma załaczyli w swym liście, inni wreście żądali wskazania im najwłaściwszego zawodu życia, zgodnego z autografem załączonym. Na wszystkie takie zapytania odpowiadał pan Hentze bez wszelkiego zakłopotania, a odpowiadał nawet przez dość długi przeciąg czasu. Dziś zamilkł zupełnie; nie wiedzieć czy na stratę czy na korzyść swoich klientów i ludzkości.

Samobójstwo niedźwiadka. „Siedziałem pewnego wieczora w towarzystwie kilku oficerów niemieckich w izbie gościnnej jednego z najporządniejszych hotelów w Pera“ — opowiada pewien podróżnik, bawiący podczas ostatniej wojny w Turcyi. — „Moi towarzysze wybierali się na azyatyckie pobojowisko, i wszczeli żywą rozmowę o bieżących wypadkach, gdy wtem zaczął w zakącie izby ujadać gwałtownie pies jednego z oficerów. „Zapewne obaczył niedźwiadka“ — zawołał na to gospodarz, i pochwyciwszy wielkie szczypce kuchenne, poskoczył ku tej stronie. I rzeczywiście w kilka chwil potem położył na stole największego niedźwiadka, jakiego tylko w mojem życiu widziałem. Jeden z przytomnych mieszkańców Pery prosił gospodarza, aby mu pozwolił wziąść to obrzydliwe zwierzę z sobą do domu. Jak się poźniej dowiedziałem, był to wielki miłośnik i gorliwy zbieracz niedźwiadków. Czynią tożsamo wszyscy mieszkańcy Pery, bo oliwa w ktorej zgnije niedźwiadek, ma być najskuteczniejszem lekarstwem przeciw jego własnej truciźnie. Gospodarz pokazywał nam kwartową flaszkę z oliwą, w której pływały resztki kilku zgniłych niedźwiadków. Płynem tym miał on sam uzdrowić kilka ukąszonych osób, mianowicie swoją własną żonę i jednego z swoich codziennych gości. Tymczasem ów miłośnik niedźwiadków wyjął i nadstawił swoje flaszeczkę, a gospodarz podniósł w górę niezupełnie jeszcze dobite zwierzę, aby je wsadzić do środka. Lecz niedźwiadek bronił się tak zaciekle, i tak żywo miotał sobą to w tę to w ową stronę, że gospodarz musiał opuścić go na ziemię. Widząc przytem wielkie zdziwienia na naszych twarzach, umyślił wyprawić nam ciekawe widowisko. Pobiegłszy tedy do kuchni, wrócił wkrótce z pełnym radlem żarzących węgli, które około niedźwiadka rozsypał. My wszyscy staliśmy z ciekawością w pobliżu tego czarodziejskiego koła, spoglądając nieustannie na leżące w pośrodku zwierzę. Kilka chwil leżało ono spokojnie, potem zaś zaczęło zbliżać się zwolna ku węgłom, chcąc zapewnie ujść naszych wzroków. Lecz trudno było przebyć granice. Cztery razy probował niedźwiadek przesunąć się poza linię ognistą; zawsze jednak napróżno. Gospodarz podsycał ogień przygasający, i dosypywał wciąż węgli. Niedźwiadek powrócił na swoje dawne miejsce, i jakby się namyślał. Po chwili posunął się znowu naprzód, i znowu raz i drugi, to jedną to drugą stroną, próbował wyjścia. Lecz równie jak pierwszą razą, tak i teraz musiał wrócić do środka swojej ognistej areny. Po tych bezskutecznych usiłowaniach stracił nieborak wszelką nadzieję ocalenia. Zdawało sie że dzika rozpacz opanowała go nagle. Najpierwej zaczął się kręcić na wszystkie strony, spinał sie w górę, bił wściekle jadowitym ogonem w około siebie, i ściskał mocno nożyce; potem rzucił się jeszcze raz w górę, i zwinął się nagle w kłębek. „Teraz uważajcie moi panowie!“ — rzekł gospodarz. „Wkrótce skończy się widowisko.“ Zaledwie to wymówił, gdy niedźwiadek wyprężył wszystkie członki, drgnął cały, i pozostał bez ruchu. „Zasłona spadła!“ — zawołał ze śmiechem gospodarz, biorac nieżywe zwierzę w dwa palce. — „Nie raz już“ — dodał po chwili — „zmusiłem to jadowite zwierzę podobnym sposobem do samobójstwa. Patrzcie, ile tu złości i jadu w tem małem stworzeniu. Własnem żądłem przebodło sobie głowę z wściekłości, że nie mogło przemknąć przez ogień.“ A mówiąc to, pokazał nam miejsce w głowie niedźwiadka, w które samobójca wpoił swe żądło. Widziałem je na własne oczy, mogę więc zaręczyć prawdziwość całego wypadku.“

Dawna scena sądowa. „Wacławek mieszczanin krakowski“ — opowiada pewien starożytny pamiętnik polski — „miał akcyą wielką z rajcy krakowskimi, gdzie mu szło o gardło. A gdy rajce konjekturami dowodzili nań tych tam rzeczy, iż kiedyś żebraka miał był kazać dla pieniędzy zabić, na co tamże świadki, ale nie wiem jako pewne mieli, kazał sąd stanąć świadkom, i spytano pierwszego, jakąby tego wiadomość miał? Świadek powiedział, że o tem słyszał z ust pewnej osoby. Rzekł kniemu Wacławek: „Może to być, iż ten, od kogo powiedasz wm. żeś słyszał, z gniewu a nienawiści na mnie mówił.“ Dał miejsce świadek tym słowom, ramiona skurczywszy. „A może też to być“ — rzekł zasię Wacławek — „iż ten tam o kim innym to powiedział, a mnie tak wspomniał, iżeś go wm. dobrze wyrozumieć nie mógł.“ Pozwolił i tego świątek jako ten, który wżdy Wacławkowi upadku nie życzył. „A może też to być“ — rzekł znowu Wacławek — „iż tego, co wm. powiedasz żeś słyszał, jako żyweś ni od kogo nie słyszał.“ Wnet to ostatnie rzeczenie iż nad nadzieję wyszło, wielki śmiech pobudziło w ludziech“.

Żart. — Dobrze że kury nie są elegantki, co się lubią po świecie kręcić, bobyśmy nigdy kurcząt nie mieli.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*